

Dziewczyna z motocyklem

Pani Basia (rocznik 1939) to najstarsza z bohaterek tej książki. Mieszka w południowo-zachodniej Polsce, od 22 lat żyje w udanym związku. Kiedy umawiamy się przez telefon na spotkanie, mówi: „Jestem siwa, rozpozna mnie Pani bez trudu”.

Wysiedlenie

Pochodzę z Kresów południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, z pięknego miasta, zniszczonego najpierw przez wojnę, a potem przez Sowietów. Kościoły, cerkwie, nekropolie, przepiękne kamienice - wszystko uległo dewastacji i do dziś w dużej mierze nie zostało odrestaurowane. Od czasów wojny byłam tam kilka razy, już jako dorosła osoba. Podziwiałam to, co ocalało, zasmucało mnie upadające miasto.

Cała moja rodzina od pokoleń żyła na Kresach. Kiedy ewakuowano nas w 1945 roku, miałam 6 lat. Przed wysiedleniem można było sobie wybrać albo Ziemię Zachodnią, albo miejsce, gdzie biegały białe niedźwiedzie. To drugie nie wydało się moim rodzicom atrakcyjne.

Mieliśmy 12 godzin na to, żeby się spakować i opuścić dom. I tak byliśmy szczęściarzami, bo oszczędzono nam podróży w bydlęcych wagonach. Wyjechaliśmy razem z innymi, w kawalkadzie samochodów ciężarowych. Wylądowaliśmy w jednym z miast Górnego Śląska, po drodze zahaczając o Kraków (nie było w nim jednak szans na znalezienie mieszkania). Nie pamiętam, czy na Śląsku rodzice znaleźli lokum sami, czy nam je zaproponowano, w każdym razie tam się zakotwiliśmy. Moi rodzice tak okropnie przeżyli wysiedlenie, że nawet nie rozmawiali w domu na ten temat. Wielka szkoda, bo ja - jako dziecko - niewiele zapamiętałam, a wiedza uzyskana z filmów czy książek nie jest tym samym.

Pamiętam natomiast, jak Polacy zajmowali kompletnie umeblowane, niemieckie mieszkania. Na początku mieszkało tam jeszcze dużo Niemców, potem wszystkich wysiedlono. Byli przestraszeni, mówili po niemiecku cichutko, między sobą. Jak się bliżej podchodziło, zamieniali język na śląski. Wszystko to było bez sensu, cała ówczesna wędrówka ludów, ale nikt się wtedy z poczuciem sensu nie liczył.

Ubecja odwiedzała nasz dom prawie codziennie, wszędzie węszyli, wszystkich sprawdzali. Wśród ubeków było wielu ludzi żadnych jakiegokolwiek awansu społecznego, władza nie wymagała od nich właściwie niczego poza całkowitą wiernością, więc można sobie wyobrazić,

kto tam trafiał. Byli ślepo posłuszni władzy i bezwzględni wobec ludzi.

Okres powojenny był z jednej strony bardzo ciężki, ale dla mnie osobście pod pewnym względem świetny, bo zarówno w szkole podstawowej, jak w liceum miałam nauczycieli z prawdziwego zdarzenia - wykształconych, mądrych, wymagających, wyrozumiałych. To był wielki plus. Na studia postanowiłam wyjechać do Wrocławia, gdzie wśród potwornych ruin była ta wyjątkowa, kresowa atmosfera. Wybrałam przedmioty ścisłe, kierunek związany z przemysłem. Później tego żałowałam, ale ponieważ przyjechaliliśmy ze Wschodu z „dwoma walizkami”, a rodzice ledwo wiąźali koniec z końcem, nie wypadało grymasić i zmieniać studiów na inne. Pracowałam, zmieniając zawody kilkakrotnie - jako konstruktor urządzeń techniki jądrowej, nauczycielka, informatyk, a gdy współczesne czasy wykluczyły dorosłych - jako agent ubezpieczeniowy. Teraz znalazłam swoje miejsce w niewielkim wydawnictwie. Jestem cały czas aktywna i świetnie się z tym czuję.

Dziewczyny „z klubu”

Swoje tak zwane osobiste preferencje odkryłam w czasach liceum. Oczywiście na początku zastanawiałam się: dlaczego? skąd to się bierze? Miałam opory, odczuwałam niepokój. W swoim czasie nawet myślałam o tym, że powinnam przestawić się jakoś na tory „praworządne”, ale mi się nie udawało (mimo paru sytuacji, w których ten czy ów chłopak myślał o mnie poważnie).

W gruncie rzeczy moim największym kłopotem natury społecznej, jako nastolatki, było co innego: nie mogłam odnaleźć swojej roli w grupie. Czasy moich zabaw szkolnych czy innych towarzyskich aktywności przypadły na okres czarnego stalinizmu. Nie mogłam znaleźć swojej drogi. Nie interesowały mnie ani potańcówki z chłopcami (nie było zwyczaju, żeby dziewczyny tańczyły razem), ani rozmowy z koleżankami o strojach lub makijażach, które po pięciu minutach nudziły mnie potwornie. Musiałam chodzić w spódnicy, co raczej mnie nie cieszyło (dopiero pod koniec lat 60. modne zaczęło być spodnium i wtedy zaczęłam swobodniej się ubierać). Nigdzie nie pasowałam, ale im byłam starsza, tym większe dawałam sobie prawo do wolności (na przykład przez całe studia trzymałam w akademiku motocykl, co nie było wtedy takie zwykłe). W końcu odkryłam, że jestem dorosła i w ogóle nic nie muszę! Dziś mamy z koleżankami takie powiedzenie, że któraś jest (albo nie jest) „z klubu”, ale w dawnych czasach nie miałam poczucia, że w ogóle istnieje jakiś „klub”. O poznaniu potencjalnej partnerki decydowały przypadek i własna odwaga. Mam taką teorię, że można poznać bliżej

każdą dziewczynę, jeżeli się bardzo chce. Być może moja teoria wynika z zarozumiałości (niektóre moje przyjaciółki śmieją się, że rąk brakuje, jak wyliczam kobiety, z którymi byłam blisko związana), ale takie właśnie miałam doświadczenia. Tak czy inaczej, w codziennym życiu decydowały przypadek i jego konsekwencje.

Podczas studiów mieszkałam w żeńskim akademiku (koedukacyjnych wówczas nie było).

Z jednej strony w takiej grupie zawsze się znalazła jakaś interesująca postać, ale z drugiej - moje życie uczuciowe było najeżone problemami. W akademiku wszystko odbywało się w tajemnicy, po cichu, z nadzieją, że nikt nie zauważy. Ja akurat miałam szczęście - nikt mi nie naubliżał, ani stamtąd nie wyrzucił, chociaż na pewno na mój temat się rozmawiało. Po jakimś czasie nie przejmowałam się już tak bardzo, ale na początku miałam poczucie dużego ryzyka, nie było wiadomo, na jakie przykrości człowiek się naraża.

Pokoje miałyśmy w najlepszym wypadku trzyosobowe, łazienki i kuchnie na końcu korytarza, wszystko razem wyglądało jak kołchoz, więc trzeba było rozwiązać problem: „Jak poderwać dziewczynę w kilkuosobowym pokoju?” Poza tym żyliśmy w specyficznej społeczności, każdy na każdego donosił, plotkował. Mnie się jakoś udawało, ale te trudności, a często nielojalność partnerek, na pewno odcisnęły swoje piętno.

O moich rodzicach nie mogę powiedzieć złego słowa. Oni wiedzieli, ale niczego nie komentowali. Na swój sposób byli wierzący, chodzili do kościoła, w przeciwieństwie do mnie, bo ze względu na swoje preferencje czułam się z Kościoła wykluczona. Rodzice nigdy nie zadawali mi pytań natury osobistej, nie wywierali na mnie żadnych nacisków w kwestii zamążpójścia. Byli ludźmi o dużej kulturze, bardzo wyrozumiałymi, a poza tym zwyczajnie mnie kochali. Poznawali również moje wybranki, ale nie nazywało się ich inaczej niż przyjaciółkami. Dziewczynom zawsze było łatwiej niż chłopcom, bo bliskość między przyjaciółkami powszechnie uznawano. Nikt się nie dziwił, że przyszłam gdzieś z kobietą, zaprosiłam ją do domu, wzięłam za rękę, że jeździłyśmy razem na wycieczki.

Mój brat dowiedział się o moich preferencjach ponad 20 lat temu i też normalnie przyjął to do wiadomości. Kiedy teraz na przykład odwiedzam rodzinę w święta, to albo przyjeżdżam z moją przyjaciółką, albo w ogóle.

Dużo było w moim życiu kilkuletnich znajomości, można powiedzieć:

krótkich związków. Z niektórymi wiązałam większe nadzieje, z innymi nie. Spośród moich dawnych bliskich przyjaciółek wiele powychodziło za mąż, nawet sama je wyswatałam. Nie traktowałam nigdy życia intymnego jak sportu, ale uważałam, że jeśli dwóm osobom się nie układa, nie ma nic złego w powiedzeniu sobie „do widzenia”.

Chociaż nie dążyłam za wszelką cenę do stabilizacji, to teraz muszę przyznać, że ona nie jest taka zła. Od 22 lat jestem związana z jedną dziewczyną (pobiłam wszelkie rekordy), i tak już chyba umrzemy. Czasem diabeł kusi, kiedy człowiek spotka kogoś interesującego, ale trzeba mieć dystans do siebie.

Myślę, że dla trwałości związku ważne jest, żeby zrezygnować z ujarzmienia drugiej osoby. I nie okłamywać się nawzajem. Przeżyłam w życiu wielkie rozczarowanie, właśnie z powodu kłamstwa. Powiedziałam sobie wtedy, że widocznie muszę odpokutować za to, że wiele razy sama odchodziłam.

Porównania

Pierwszy klub, w którym można było zachowywać się swobodnie, zobaczyłam za granicą. W 1981 roku wyjechałam z przyjaciółką do Anglii, potem przez jakiś czas byłyśmy w Kopenhadze. Miłość do podróży i zwiedzania wyniosłam z domu. Są to dobra, których nikt odebrać człowiekowi nie może. Zwiedziłam mnóstwo świata. Nie było jednak we mnie chęci, żeby wynieść się z kraju. Zawsze tu wracałam. W Polsce nie spotkały mnie ze względu na orientację jawne, aroganckie napady (jakie mają miejsce teraz) czy potępienie. Może dlatego, że zawsze mieszkałam w dużych miastach, gdzie jest więcej swobody, bo wcale nie prowadziłam się grzecznie. Uważam też, że kultura bycia była wówczas o wiele większa niż dziś. Ludzie na co dzień inaczej się do siebie odnosili, z większym szacunkiem (mimo, że pod względem politycznym i ekonomicznym czasy były okropne).

Nigdy nie uważałam, że trzeba się ukrywać, siedzieć pod stołem i przepraszać, ale, szczerze mówiąc, jestem przeciwniczką ostentacji, demonstracji i afiszowania się (bez względu na jakąkolwiek orientację). Teraz jednak można funkcjonować w sposób o wiele bardziej legalny niż kiedyś, w sensie społecznym. To prawda, że pod względem prawnym w Polsce związki osób tej samej płci nie istnieją, ale... parady, zwyczaj wprost przeniesiony ze społeczeństw o innej mentalności i wyższej kulturze, u nas są doskonałym pretekstem do wulgarnych zachowań polskich „fundamentalistów” - na ogół bezkarnych, a demonstrować powinniśmy zawsze, przy każdej, nawet drobnej, ale jasno

określonej próbie jakiejkolwiek dyskryminacji.

Trzeba wielu lat, o ile nie paru pokoleń, aby polskie społeczeństwo okazało się tolerancyjne dla wszelkich inności. Na razie - mówię to ze smutkiem - wychodzą z Polaków kompleksy i fobie, podsycane cynicznie przez marnych polityków i samozwańczych decydentów.

„Żyj i pozwól żyć innym” powinno być naczelnym edukacyjnym hasłem świątłych Polaków.

Po 1989 roku przeżyłam wielki szok, bo solidarność, życzliwość i kultura w kontaktach międzyludzkich istniały, dopóki był wspólny wróg. Król okazał się nagi. Nie ma w tej chwili ugrupowania, z którym mogłabym się identyfikować. Kiedyś bardzo liczyłam na Unię Wolności, ale ona przepadła. Ludzi, którzy ją tworzyli, i im podobnych jest na razie w Polsce niezmiernie mało. Udział w polityce mnie nie interesuje, ale uczestniczę emocjonalnie w polskiej rzeczywistości i ta rzeczywistość doprowadza mnie do furii. Wierzę jednak w tych młodych ludzi, dla których przeszłość dziadków czy rodziców będzie ważną historią, ale do której będą mieli dystans i będą kształtować naszą rzeczywistość według dobrych wzorców (mimo wszystko), otwartą na świat i na każdą inność.